

KAROL DICKENS.

ZŁAMANA SZPADA

Jakiś młody, wymuskany dworzanin, ukazał się pierwszy, wydobył na blask słońca gładką stalową klingę i oddał ją z gracyą koledze majstra Graham, który przemierzywszy ją i widząc, iż długa jest jedynie na trzy stopy prawem przepisane, wręczył mu ją napowrót z ukłonem. Wówczas młody dworak zdjął kapelusz i zaśpiewał: *God save the queen!* (Niech Bóg uchowa królowę), a wtórzyli mu okrzyki i oklaski tłumu.

Drugi przybył za nim, jeszcze lepszy dworak niż tamten, bo jego klinga miała zaledwie dwie stopy długości, co nawet śmiech pomiędzy zebranymi wokoło wywołało.

Za nimi zbliżył się trzeci; był to stary wojak, a szpada jego przenosiła o 18 cali długość prawem przepisaną; okrzyk ogólny zawrzał przeciwko niemu i wszyscy widzą, a w szczególności nożownicy i zbrojownicy zaczęli się śmiać z góry ze złamania tej prawem zakazanej klingi; ale jakież było ich rozczarowanie, kiedy stary weteran rozpiąwszy z zimną krwią swój pendenty, rozkazał słuzącemu szpadę odnieść do domu, a sam przeszedł bezbrønny na wielkie zgorzienie obecnych.

Wynagrodziło ten zawód tłumowi ukazanie się jakiegoś faniarona, z ogromnej długości szpada przy boku, który się zatrzymał przy wejściu do bramy i rozmyśliwszy się, wołał powrócić nazad, niż oddać na zniszczenie broń swoją ulubioną. Żadna jednakowoż szpada nie została dotychczas złamaną jeszcze, chociaż zbliżała się już godzina południowa, a tylu szlacheńskich panów musiało tamtędy przejeżdżać, udając się na mszę do kościoła św. Pawła.

Podczas kiedy to wszystko miało miejsce, majster Graham stał na boku, dopełniając skrupulatnie włożonego nań obowiązku, a nie zważając na resztę. Zbliżył się właśnie w chwili, kiedy w bramie miejskiej ukazał się jakiś pan bogato przybrany; szedł plechołą, a słuzący, który postępował za nim, niósł płaszcz jego.

Wrzawa ucichła na chwilę, tłum czekał ciekawie, co się stanie. Majster Graham stał sam pod sklepieniem bramy, nowo więc przybyły i on spotkali się oko w oko. Ten pan, bo wydawał się być lordem, miał minę wyniosłą i pogardliwą, która okazywała, jak nisko cenił mieszczanina. Postawa zaś mieszczanina była spokojną i poważną, jako człowieka, który nie daje się łatwo ustraszać ani przewodzić nad sobą, mając jedynie szacunek dla szlachectwa, które płynie z zasługi. Może ten instynkt wzajemnego oceniania swoich usposobień nadał przy tem

spotkaniu spojrzeniu ich obu dziwnie jakos twardy wyraz.

— Upraszam waszej wielmożności o wręczenie mi swojej szpady.

I zaledwie Graham wymówił te wyrazy, zadął nagle i cofając się o kilka kroków, położył dłoń na rękojeści sztyletu, który nosił za pasem.

— Pan jesteś tym samym, któremu pilnowałem konia przede drzwiami fabrykanta luków, wszak nie myślę się, nieprawdaż?

— Z drogi psie czeladniku — odpowiedział groźnie tamten.

— Tak, tak, jesteś tym samym, poznaję cię — odpowiedział Graham; — niech nikt nie miesza się pomiędzy nas, tu idzie o śmierć lub życie. I to mówiąc wydobył sztylet i rzucił się z zaciętością na szlacheckiego pana.

Ten zaś, stosując się do rozporządzenia, wydobył już był szpadę z pochwy, zanim jeszcze te słowa wyrzeczone były. Odwrócił ją więc ostrzem do napastnika, ale sztylet, który Graham trzymał w ręku, była to broń urządzona umyślnie do odbijania takich razów, z łatwością więc uniknął ciosu prosto w pierś mu wymierzonego i dwaj przeciwnicy zetknęli się jeden z drugim. Sztylet upadł na ziemię i mieszczanin wyrwijąc szpadę szlacheckiemu lordowi, wepchnął mu ją w serce. Wydobywając broń z rany, spostrzegł dopiero, że od silnego pchnięcia złamała się na dwie i że połowa klingi pozostała w pierśsiach trupa.

Wszystko z taką szybkością miało miejsce, że widzowie nie mieli nawet czasu wdać się pomiędzy nich, żeby ich rozbroić. Ale zaledwie jeden z przeciwników upadł śmiertelnym ugodzony razem, straszliwa natychmiast powstała wrzawa. Słuzący przedarł się przez bramę i pobiegł w miasto donosząc, iż pan jego, znakomity lord, został napadnięty i zabity przez mieszczanina i wieść ta z ust do ust przebiegła. Z katedry św. Pawła, ze sklepów księgarzy i z innych domów placu wysunęły się na ten krzyk roje młodych panów i dworzan, którzy dobywszy szpady, rzucili się na Lug Gate.

Z równą szybkością, podniecając jedni drugich głośnymi krzykami, mieszczanie i lud garnęli się do walki i otoczywszy tłumnie majstra Graham, pociągnęli go za sobą. Daremnie złamaną szpadę ponad głową wywijając, wołał on, iż chce umrzeć na progu miasta w obronie praw mieszczaństwa angielskiego, fale tłumy uniosły go z sobą, broniąc od wszelkiego napadu i gwałtem sunąc się w środkowe ulice miasta.

Był to straszliwy widok: szereg broni, grzmot głosów, głowy pylem pokryte, twarze gniewem płomieniące, ludzie deptani nogami, kobiety w oknach, skąd wydawały krzyki, poznając braci, mężów i kochanków w tłumie. A odgłos dzwonów pomnażał jeszcze zamieszanie, w któ-

rem każdy ze ślepą walczył wściekłością, na pięście czy na kije, na szpady czy na miecze. A wszędzie, gdzie tylko złamana szpada ukazała się w górze, kawalerowie z ludźmi swoimi z większą zaciętością się rzucali, a po każdym takim napadzie w ściśnionych rzędach ludu próżne przeświecało miejsce, które w tę samą chwilę nowe tłumy zapychały, stając się dla szlachty żywą i poruszającą się zaporą: powiedziałbyś, że to prawdziwy chaos, gdzie wybiłyby co chwila szpady, kije, pióra od kasków, kity od czapek, bogate ubiory i lachmany.

Zamiarem ludu było przymusić majstra Graham do schronienia się we własnym domu i broniienia go, aż dopóki władza nie wda się w tę sprawę, albo dobrowolnie układy jakie nie nastąpią. Ale czy to przez niewiedomość nowego jego zamieszkania, czy też skutkiem jakiegoś oblędu z rozruchu pochodzącego, żony mieszczan zatrzymały się przed dawnym jego domem, który był ze wszystkich stron zamknięty. Stracono pewien czas na wybijaniu drzwi, podczas czego ze dwudziestu najzuchwalszych z przeciwnej party biło się przebiło się przez tłum i stanęło u wejścia razem z majstrem Graham.

— Z wolą Boga nie będę uciekał w tak słusznej sprawie — zawołał majster Graham głosem, który mógł nareszcie dać się usłyszeć; — nie, nie będę uciekał, kiedy noga moja dotknęła progu domu, na który ludzie z waszego rodu rozpacz i hańbę naprowadzili. Bez pardonu i ani sam go nie chcę, ani nikomu nie dam. Uderzajcie!

I walka na nowo się rozpoczęła, a kawalerowie zmuszeni zostali cofnąć się na chwilę przed błyskiem złamanej szpady; ale w tej samej chwili dał się słyszeć wystrzał; rusznica należała zapewne do któregoś napastnika, co się dostał do okna sąsiedniego domu... kula trafiła Grahama w czaszkę i padł trupem. Jęk przedarł powietrze... kilku osobom z tłumy wydało się, jak gdyby jakaś dziwna postać ukazała się i znikła nagle w oknie domu fabrykanta luków.

I nastąpiło głębokie milczenie. Niektórzy z walczących złożyli broń i ciało umarłego przenieśli do domu, inni rozbiegli się częściowo, rozmawiając cichym głosem i kiedy wojsko przybyło, żeby zająć ulicę, była ona prawie już pustą zupełnie.

Ci, którzy nieśli ciało majstra Graham, żeby je na łożku złożyć, zdziwili się, widząc kobietę z rękoma do modlitwy złożonemi klęczącą u okna; chciano ją podnieść, ale już nie żyła; pogrzebano więc ją obok ciała mieszczanina, którego ręka trzymała jeszcze mocno ściśniętą jedyną szpadę, złamaną tego dnia w Lug Gate.

KONIEC.

JÓZEF LASOŃ.

Gangrena

Z CYKLU: „NA PALACH ŻYCIA”.

Prybowski nie pamięta tak dawno zapomnianej chwili gawędy przyjacielskiej, jaką obecnie toczy z żoną, jaką widzi w czasach narzeczeńskich i w dniach pierwszych małżeńskich. Tryby życia pochwycili ich stalowymi kleszczami w nieustannym wirze obrotów trosk i walki o byt, starty wszelkie cieplejsze słowa; miłość spaliła się, skuwając coraz silniej dwoje obojętnych sobie istot węzłami musu i obowiązku. On miał kucharkę, ona żywiciela. Wróciła znów jakaś dawna zapomniana chwila, której nieraz pożałował, jak wspomnień młodości. Zdawało się, że i jej serce ożywiło się i zaczęło żywiej bić, krew silniej krążyć. Nachyla się do ucha męża i długo coś szeptła, przekonywuje. Wtulony w wyszarżaną koldrę, potrząsa głową i usiłuje się ochronić od nagłych, niespodziewanych czułości żony. Wyczuwa, że czułość ta, każdy cieplejszy pocałunek żony, obowiązuje go do wykonania tego, co do ucha żona szeptce. Przytuliłby się do niej z całą serdecznością, ale boi się tych zobowiązań, jakie przeczuwa w każdym pocałunku żony. Poprostu ona pocałunkiem chce go wydać na mękę, w ręce Gustawa, społeczeństwa, państwa.

Zdaje sobie sprawę, że żadne flomaczenie, usprawiedliwianie, nie zdołają zrównoważyć pragnień jego żony; zresztą pragnienia, te są przeciętne; chce mieć co jeść, ubrać się wychować dzieci, wyrzucić sublokatorów. Na to potrzeba tylko tygodniowo jeden z wagonów kolejowych przemycić do Krakowa. Jest to napozór rzeczą dość łatwą, dostępną i wykonalną dla niego, odpowiedziałność jednakże spada olbrzymią: sumienie, które rozkłada się na strach, żal, wstyd. Strach przed wykryciem i karą śmierci, choćby nawet dożywotniego więzienia, żal państwa i społeczeństwa, nazwiska, dzieci, wstyd przed czynem. — Zbrodnia staje się straszna dopiero po uczynku. — To zdanie czytane gdzieś, czy słyszane, dzwoni mu w uszach, zagłusza szept żony. Przeczedza wszystko to przez komórki mózgu. Przyznaje jej słuszność, ale ręką i sumienia nie splami.

Boi się dnia jutrzejszego. Niewidzialną siatką pajęczyn pokusy oplatał go ten człowiek. Czy zwalczy? Zastanawia się nad tem pytaniem, zdaje sobie sprawę, że przeciw niemu spryskięło się wszystko: życie nędzarza, fałszywy blask dyamentu, Gustaw, i wszystko co go otacza. Podobnież ocenia żonę. Także jest opętana przez szatana, wiedzioną na pokuszenie i jako kobieta, istota słabsza, łatwiejsza do uwiedzenia. Zdaje mu się, że coś z Chrystusowych cierni spoczęło na jego czaszce, wżarło się w mózg. Oto jest wiedzion przez szatana na górę jerozolimską, gdzie przepych i bogactwo miasta u stóp jego legnie za cenę jednego upadku.

Wszyscy sprzyślegli się na niego. Nawet pocciwy dziadzius bezzębnymi ustami ssie łapczywie unoszące się dymy bogactw miasta... Człowiek urodzony jest, by walczyć z życiem o byt. Walczy w człowieku dobre ze złem o cenę bytu i żołądka. On czuje się silnym! Odpędzi pokusę tak, jak złe widmo krzyżem, słowem i uczynkiem. Senność powoli zamyka mu oczy, zasypia. W półśnie słyszy jeszcze szept żony, nakłaniający go do uczynku.

Kobieta ta poproitu nie zdaje sobie sprawy z walki, jaka toczy się na dnie serca męża. Uważa go za człowieka słabego, którego życie depcze ustawicznie. Trzeba żelazną ręką pchnąć los swój naprzód, potoczyć się za nim pięściami rozpychając świat. Wcale nie jest zła, tylko widzi, że ludzie tak robią i dobrze im się powodzi. Ona także chce raz żyć, pracując mieć pełny kęs chleba.

Mimo silnych postanowień, wieczorem pojechali autem na miasto. W domu pozostał dziadzius i Helenka, Władzio zaś otrzymał bilet od Gustawa do kina.

Prybowska ze wzruszeniem wsiadła w auto. Przypominało jej to uroczyste chwile, gdy ruszyli powozem do ślubu. Wówczas zapowiedź nowego życia jasną smugą oświeciła szare, pańskie życie córki podupadłego rękodzielnika. Czuła się wówczas dumną, szczęśliwą, wierzącą w przyszłe, szczęśliwe życie. I znów los poczyną się nawracać do nich, dni radosne, bez troski pędzony żywot stanie przed nimi. Prybowski siada ociężałe, niechętnie i nieufnie. Wpaniałe